

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

20

Ciąg dalszy.

Naraz przed sobą na zakręcie spostrzegł idące śpiesznie dwie osoby. Nie był pewnym, ale mu się wydawało, iż jedna z tych dwojga osób była Marylką Reman.

Przeczekał chwilę, przyczajony pod murem. Zniknęli mu z oczu w głębi kurytarza, a wtedy Anielski szybko poszedł w stronę kancelaryi dyrektora, gdyż nagle zorientował się, że znajduje się w miejscu, skąd do niej było już niedaleko i które go do biura dyrektora prowadzono często z celi.

Jednemu ze strażników wydała się podejrzaną ta przechadzka, spojrzał za nim i poznawszy doktora, który uchodził w więzieniu za obłąkanego, narobił alarmu.

To wyprowadziło z równowagi Anielskiego, który natychmiast rzucił się ku najbliższemu schodom, w przeciwnym kierunku, aniżeli miał udać się do biura dyrektora, dla odszukania dra Wrzesińskiego.

Po schodach zbiegał z piętra na piętro i z nim na skutek alarmu strażnika puszczono się za nim w pogoń, znalazł się w sieni na dole.

W pierwszej chwili potracono głowy i szukano Anielskiego wprost w przeciwnym kierunku i temu właśnie opóźnieniu pogoni zawdzięczał on ucieczkę.

Pragnienie odzyskania coprędzej wolności, tęsknota za żoną, wreszcie sam zmysł samozachowawczy pchały go naprzód.

Kiedy wszedł do sieni, struchlał na widok straży licznych i uzbrojonych groźnie.

Ale nie stracił ani na chwilę przytomności. Szedł dalej śmiało.

Właśnie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w bramie wpuszczano kogoś do środka.

Z tej okazji skorzystał Jan Anielski i przecisnął się przez drzwi, tuż obok człowieka wchodzącego do sieni.

Jego śmiałe ruchy nie zwróciły uwagi strażników, którzy wzięli go za całkiem kogo innego i nie powstrzymywali.

Ale za to człowiek, którego wpuszczono do bramy więziennej, cofnął się nagle, obejrzał za wychodzącym i krzyknął:

— Panie doktorze!

Poczem zwracając się do straży, spytał:

— Czy nie był to doktor Anielski?

Otęły dozorca w bramie nie zrozumiał pytania, zwłaszcza, że nazwisko Anielskiego nie mu nie mówiło.

— Ależ ja przekonany jestem, że to nikt inny, tylko doktor Anielski — powtórzył gość, do którego na dźwięk tych słów rzucił się natychmiast jeden ze strażników w sieni stojących.

Naraz parę osób wyrzało z bramy w stronę, w którą palcem gość wskazywał.

— Ja go znam z widzenia, proszę pana — rzekł strażnik — to nie był on... Jemuby się nie udało uciec od nas, tam jego już dobrze pilnują w celi...

— Ależ on bez kapelusza wybiegł, czyście nie zauważyli...

Wmieszał się w to ktoś drugi, utrzymując, że ów pan bez kapelusza jest lekarzem, który tu ma coś do czynienia, u dyrektora więzienia przesiaduje ciągle w kancelaryi, to wchodzi, to wychodzi znowu...

Mimo to jeden z dozorców wybiegł za mężczyzną bez kapelusza dla zaspokojenia swego sumienia. Jednakże nie było już z niego ani śladu. Wsiadł do dorożki i w jednej chwili zniknął im z oczu wśród ciemności.

Wtem szmer powstał w sieni. Właśnie z góry dano znać na dół, że uciekł jeden z więźniów. Kazano tedy nie wypuszczać z bramy nikogo.

— A nie mówiłem — zawołał na to gość do strażników.

— Nie, panie, to być nie może, skoro nam dano znać w tej chwili, to znaczy, że ten więzień dopiero ma wpaść w naszą pułapkę... To będzie ktoś przebrany, kto zechce wyjść swobodnie za bramę w mundurze wojskowym lub w takim, jak my nosimy... To skoro oni tam się na tem spostrzegali, tak my się zaraz na niego natkniemy.

Wśród tego wyszedł ktoś z funkcjonariuszy miejscowych w towarzystwie młodej kobiety, z głębi budynku, zmierzając wprost ku bramie. Ale ponieważ nie wypuszczano nikogo teraz, nawet osób,

już powyżej przepuszczonych przez sztyldwachów, przeto z miejsca zastąpiono im drogę.

Na ten widok kobieta zadrżała widocznie, a mężczyzna zaśmiał się głośno.

— Ach, to wy! — krzyknął jeden w bramie, poznając swojego — daj Boże zdrowia...

— No, swobodnie — dodał któryś starszy, witając się z nim, skutkiem czego natychmiast drzwi otwarto, wypuszczając ich wolno.

Elegancki gość jeszcze nie opuścił sieni, przystanawszy u bramy, nie tracąc ani na chwilę przekonania, że uciekł stąd nie kto inny, jak Anielski.

Jakoż właśnie dano znać z góry, że odbywa się pościg za zbiegłym więźniem-waryatem.

— A co! — tryumfował gość w cylindrze — mnie oczy nie mylą...

Wszyscy znaleźli się za bramą. Tylko gość wchodził do wnętrza, myśląc nad tem znowu, skąd wydała mu się znajomą twarz kobiety, którą przed minutą wyprowadził na ulicę jeden z dozorców więziennych.

Czytelnicy domyślają się niewątpliwie, że owym gościem, który poznał w bramie Anielskiego, był książę Mirosław Czerski, a młodą kobietą, której twarz go uderzyła jakimś niejasnym wspomnieniem — była Marylka Reman.

Czerski przybył na Pawiak jedynie w sprawie Anielskiego, a trafił właśnie na chwilę jego ucieczki z więzienia.

Zrazu alarm sprawił tak wielkie zamieszanie w gmachu, że książę niczego nie mógł się dowiedzieć, szedł kurytarzami, dopytując się po drodze, ale informacje, udzielane mu, były wogóle i bałamutne i niechętnie mu nawet odpowiadano na pytania, biegając to w tę, to w ową stronę.

Aż natknął się na kogoś ze starszych funkcyj-naryuszów, który właśnie wydawał nowe polecenia i ten mu wręcz oświadczył, że doktora Anielskiego już wypuszczono z więzienia zupełnie.

— Nie mogę panu powiedzieć, czy za kaucją, dość, że go wypuszczono... Już wstrzymałem pościg za zbiegiem, ponieważ przez ten czas sprawa się wyjaśniła...

Rozdawał książę na wszystkie strony napiwki, żeby docierać głębiej, gdy naraz spostrzegł, że wypada mu zacząć się cofać.

Już w powrotnej drodze dowiedział się, iż Anielskiego nie uwolniono właściwie, tylko pozwolono na przeniesienie go z Pawiaku do prywatnej lecznicy.

Z tą wiadomością znalazł się na ulicy książę, nie zdradziwszy przed nikim swego nazwiska.

Dopóki wszystko się nie wyjaśni ostatecznie, uznał za stosowne, być pod tym względem przezornym. Wszakże jego samego ścigano po owej nocy fatalnej w pałacu w Alejach Ujazdowskich...

Sprawa jego nie była jasną.

Mogło się zdarzyć, że dla śledztwa zechcieliby jego samego przytrzymać w więzieniu.

Myśląc o tem, spostrzegł zdaleka jakąś dziwną scenę na ulicy przed bramą więzienną.

Policja przytrzymała dorożkę, w której siedział młody człowiek bez kapelusza. A jednocześnie dobiegł do niej od strony bramy więziennej mężczyzna, który w ręku trzymał płaszcz i kapelusz, mimo, że był sam w zarzutce i w kapeluszu.

Nawinął się tam i strażnik z Pawiaka.

Czerski zobaczył, że ten nieznajomy mu mężczyzna, z chwilą, gdy dobiegł do dorożki, pokazał policyantowi jakiś papier, przyczem i strażnik coś rękami wymachiwał, stojkowego usuwając na bok. Pan zaś siedzący w dorożce, odebrał z rąk tamtego kapelusz i płaszcz, ubrał się, poczem dorożka z obu mężczyznami pędem odjechała.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że książę, który obserwując bacznie całą scenę, zmierzzał ku nim, ani się spostrzegł, kiedy dorożka ruszyła z miejsca.

Przyśpieszył kroku. Zaczepił po drodze wracającego dozorcę pytaniem w przelocie:

— Czy to był doktor Anielski?

— Tak, tak... On, ale już uwolniony — odparł mu strażnik, który chciał mówić coś więcej, jednakże Czerski przebiegł ulicę w podskokach, krzyknął na przejeżdżającą opodał dorożkę wolną i wskoczywszy w nią, pojechał za uciekającymi mu w ciemnościach nocy.

Pogoń była trudna, ponieważ Anielski ze swym towarzyszem ujechali już sporo drogi. Na szczęście zdążyła woźnica Czerskiego ciągle jeszcze widzieć ich dorożkę i mógł łatwo się orientować, gdzie skręcają, mimo, że ruch kołowy był ogromny w tej chwili w ulicach, które przejeżdżali i co trochę trzeba było przystawać, to znowu prześcigać inne powozy, o ile to się gdzie dało.

Zakręcili na Nowy Zjazd.

— Teraz zaczynam rozumieć — pomyślał Czerski — jadą na kolej... Ale na który dworzec... Chyba że na Petersburski... Nic innego, tylko Anielski wie, że żona jego jest w Rożniewie i jedzie on tam gwałtem przeszkodzić jej małżeństwu z baronem Goldenthalem... Dogonię go w porę choćby na samym dworcu... Już jest niedaleko... I powstrzymam od niepotrzebnej podróży...

Zamieszanie powstało wśród licznych dorożek przed Zamkiem i stanęli nagle. Książę zniecierpliwiony wstał, patrząc w dal przed siebie. Dorożki z Anielskim już nie widział.

Sięgnął po zegarek.

— O, za kilka minut odchodzi pociąg!

I potrząsając za ramię dorożkarza, zawołał:

— Rubla na piwo dostaniesz, jeżeli dojedziemy na foksal petersburski przed odejściem pociągu... Dryndziarz zaciął konia i w bok gwałtownie skręciwszy, minął od razu sznur dorożek, poczem u wjazdu na most na Wiśle stanął.

— Dalej nie można! — krzyknął zrozpaczony.

Książę zerwał się znowu z siedzenia, wyciągnął szyję, przed siebie patrząc uważnie, ale nic nie mógł rozpoznać, jak tylko mnóstwo wozów skłębionych. Zamieszanie było wielkie. Słychać było krzyki głośne, przekleństwa padały raz za razem z ust rozgniewanych woźniców.

Trudno było dowiedzieć się, co zaszło.

Dryndziarz zapewniał księcia, że, zdaje się, koń padł u jakiegoś ciężkiego wozu pośrodku mostu i ten wypadek musiał zatamować komunikację.

Ten i ów rozpacział nad tem, że gotów spóźnić się do pociągu. Ale Czerski czekał cierpliwie z zegarkiem w ręce minutę, licząc na to, że dorożkarz jego odrobi jeszcze to spóźnienie.

Po minucie zaczął się niecierpliwieć. A kiedy sprawa przewlekła się zanadto, wyskoczył z dorożki i zwymyślał stojkowego. Na nic mu się to nie zdało.

Znowu kilka minut następnych upłynęło na daremnym czekaniu.

Czerski przyskoczył do rewirowego i oburzał się, czemu porządku policja nie robi w takim wypadku prędzej, żeby nie tamować na tak długo komunikacji przez most do dworców kolejowych. Rewirowy uspokajał go, że natychmiast będzie można puścić dorożki.

Więc książę wrócił na miejsce, siadł i czekał, nie odrywając oczu od zegarka.

Nareszcie ruszono. Ale nie poszło to tak łatwo. Z chwilą, gdy znaleźli się przed dworcem petersburskim, właśnie rozległ się świst przeraźliwy parowozu i pociąg odszedł.

Dorożka wioząca Anielskiego znajdowała się na moście już poza miejscem, w którym katastrofa zatamowała chwilowo komunikację. To też w porę dojechał on ze swym towarzyszem — a tym był naturalnie dr Wrzesiński — na kolej, kupili bilety i zdążyli wsiąść na pociąg. Byłby ich Czerski doścignął przed odjazdem, gdyby nie fatalny wypadek na moście.

Zrazu zastanawiał się nad tem Czerski, co mu począć wypada. Wracać do miasta i opowiedzieć żonie Anielskiego, co zaszło, czy też następnym pociągiem ścigać uciekiniera.

Mógł wprowadzić telegrafować do najbliższej stacji. Ale jak i co... Ostatecznie wśród podróży dopytanoby się, kto jest adresatem, jednakże zachodziła obawa, że Anielski gotów się nie przyznać, iż depecha jest dla niego, podejrzewając, iż może idzie o jaki pościg za nim.

Książę nie znał jego sprawy dokładnie. Nie wiedział na jakiej podstawie uwolniono go z Pawiaku. Wszak mogła to być mimo wszystko ucieczka. Papier urzędowy, świadczący o wypuszczeniu go z więzienia, mógł być sfingowany, mógł być podrobiony...

Kto był jego towarzyszem, nie miał co do tego pewności Czerski. Gdyby zaś liczył na to, że był nim Wrzesiński, mógłby być depeszować pod jego adresem...

Zdecydował się najbliższym pociągiem puścić się za nim w pogoń.

Tak też uczynił. Ale dopiero nazajutrz zdołał dopędzić ich. Sam jak szalony biegał między podróznymi, szukając uchodzącego za obłąkanego doktora.

Nie było go nigdzie w pociągu. Szukał po peronie również napróżno. Wreszcie wpadł do bufetu.

Tam właśnie przy stole restauracyjnym siedziało dwóch młodych mężczyzn przy zakąsce.

W jednym z nich poznał książę zaraz właśnie Anielskiego. Podszedł więc do nich zdyszany, ale zadowolony, że dogodził go nareszcie.